

Rej. Zetka²

2025

Wydanie 1



W tym numerze:

*Rozmawiałem z ...
Ciekawi ludzie i ich zawody.
Moja droga na szczyt.
Polski wirtuoz akordeonu.*



SPIS TREŚCI:

Droga na szczyt – Tomasz Kobielski o swojej pasji, która nie zna granic.
Milena Kóska

Przygoda z fotografią. Franek Ignatowski

Miedzy Mikrofonem a Bramką: Życie na Dwie Pasje. Maja Paluch

Zawód sędziego w praktyce. Maja Byłok

Co mają wspólnego garnki z aparatem? – wywiad z fotografem.
Maja Iskrzycka

Wiesław Prządka. Polski wirtuoz akordeonu i bandoneonu.
Aleksander Zaremba

Dla niektórych zwierzęta są sensem życia. Anastasia Vasiuk

Łśniąca gwiazda na niebie polskiego rocka! Lena Stauchman

SŁOWO OD REDAKCJI:

Każdy z Nas spotyka na swojej drodze różnych ludzi. Często mijamy się niezauważeni, czasami spojrzymy na siebie z ciekawością...

W tym Rejzetkowym numerze dzielimy się z Wami interesującymi historiami, opowiedzianymi przez ludzi, których spotkaliśmy na swojej ścieżce życia.

Polecamy Wam do przeczytania wywiady z himalaistą , muzykiem, fotografem...

Z ludźmi warto rozmawiać, bo każdy ma coś ciekawego do powiedzenia.
Poczytajcie!!!

Redakcja

DROGA NA SZCZYT – TOMASZ KOBIELSKI O SWOJEJ PASJI, KTÓRA NIE ZNA GRANIC



Tomasz Kobielski to jeden z czołowych polskich himalaistów, przewodników górskich i eksploratorów, który swoją pasję do gór przekuwa w wyjątkowe osiągnięcia. Znany z licznych wypraw wysokogórskich, zdobył szczyty na wszystkich kontynentach, w tym te, należące do Korony Ziemi. Jest także doświadczonym organizatorem wypraw, dzielącym się swoją wiedzą i doświadczeniem z innymi pasjonatami gór.

Milena Kóska: Jak zaczęła się pana przygoda z górami? Co sprawiło, że zaczął się pan tym interesować?

Tomasz Kobielski: U mnie to już się zaczęło od małego. Ja już w zuchach, w harcerstwie, chodziłem po górach zaczynając od Beskidów. Te wyższe góry to nie jestem pewny, ale myślę, że bardzo duże znaczenie miało to, że ojciec mojej drużynowej w harcerstwie był himalaistą, bardzo znany Adam Wilczewski. On wtedy wyjeżdżał na wyprawy, pokazywał Nam slajdy... Także myślę, że takiego wstępnego backcyla właśnie wtedy złapałem.

M.K: A która z gór była dla pana największym wyzwaniem? Co sprawiło, że właśnie ona wywarła na panu takie wrażenie?

T.K: Nie jestem w stanie chyba wybrać takiej jednej góry, ale jeśli miałbym wskazać, to wydaje mi się, że K2. Ze względu na trudność góry i duże wysokości. Nie wszedłem wprawdzie na szczyt, ale dotarliśmy dwa razy do ostatniego obozu, czyli w zasadzie pokonaliśmy większość trudności, ale na szczyt nie było wtedy pogody, więc nie poszliśmy. Ja zawsze powtarzam, że najwięcej, wbrew pozorom, uczą góry, na które się nie wchodzi, bo z jakiś powodów się na nie weszło, czyli jest trudno. Wtedy właśnie się człowiek najwięcej uczy .

M.K : Jakie emocje towarzyszyły Panu w momencie zdobycia Mount Everestu?

T.K: Na pewno byłem zadowolony, byłem w zasadzie nawet bardzo wzruszony. Zresztą zarówno za pierwszym, jak i za drugim razem, ponieważ nie jest to takie oczywiste, że na tę górę się wejdzie. Bardzo dużo czynników na to wpływa, nie tylko osobistych, ale też pogodowych oczywiście, więc trzeba poza przygotowaniami mieć też duże szczęście, aby na tą górę wejść. Ja mam zawsze dużą świadomość na szczycie, że trzeba jeszcze stamtąd wrócić, więc te emocje tak naprawdę pojawiają się dopiero w bazie. Przy pierwszym razie powiedziałbym, że miałem bardzo długi czas takie wrażenie, że to chyba był sen.

M.K: A czy któraś z wypraw nauczyła Pana czegoś szczególnego o sobie lub zmieniała punkt widzenia na życie?

T.K: Jakaś konkretna, to na pewno nie. Wyprawy bardzo dużo uczą. Uczą na pewno cierpliwości, bo góry, często duże, są to góry, gdzie trzeba być bardzo cierpliwym. Bardzo dużo ludzi poddaje się, ponieważ nie chce czekać, a duże góry to w dużej mierze spokój i opanowanie i wyczekanie pewnych rzeczy, bo emocje są tam bardzo złym doradcą.

Uważam, że góry i wyprawy uczą przede wszystkim dobrego planowania, pokory, uczą tego, że trzeba mieć zawsze plan B, czasami nawet plan C, bo my nigdy nie wiemy, co się może wydarzyć. Góra w jakimś sensie musi chcieć się zdobyć, bo to nie jest takie w 100 procentach zależne tylko od nas.

M.K: A jest jakaś góra, na którą chciałby Pan jeszcze wrócić i dlaczego właśnie na nią?



T.K: Na pewno chciałbym wrócić na K2, o którym wspomniałem, bo nie wszedłem na szczyt i mam takie marzenie, żeby tam wrócić. Chce na pewno wrócić na Lhotse, na które też mi się nie udało wejść, chociaż byłem bardzo blisko, bo dosłownie 250-300 metrów od szczytu, ale była to wyprawa sportowa bez sherpów i bez tlenu, więc nie wiem, czy w tym stylu bym na nią w tej chwili wrócił ponownie. Wchodzenie bez tlenu na tak wysoką górę, zawsze jest jednak dość dużym ryzykiem. Wiem, że wtedy bym wszedł, gdybym szedł z tlenem, ale wchodzenie z nim, a bez, jest zupełnie inną kategorią. Wtedy podjąłem taką, a nie inną decyzję, że tak zrobię i nie udało się wejść, bo bez tlenu się po prostu bardzo wolno wchodzi, o wiele wolniej niż z tlenem. Także na te góry na pewno chciałbym wrócić, no i mam trochę marzeń o innych, ale to na spokojnie.

M.K: Jak radzi sobie Pan ze stresem i niepewnością podczas wymagających wypraw?

T.K: Ja nie mam nadmiernego problemu ze stresem czy niepewnością. Mam bardzo dobrze zaplanowane rzeczy, dlatego raczej się nie stresuję, oczywiście pojawiają się czasami takie myśli, jak: „Czy będzie dobra pogoda?“, „Czy się wszystko uda?“ itd., ale raczej mam bardzo silne myślenie i przeświadczenie, że po prostu „musi się udać“. Nie mam czegoś takiego za bardzo jak stres na wyjazdach. Może na samym początku przy tych większych wyjazdach miałem, ale teraz już nie mam takich myśli.

M.K: Który moment w Pana karierze najbardziej utkwił Panu w pamięci?

T.K: Chyba właśnie ten pierwszy Everest, chociaż muszę powiedzieć, że powrót na niego po 17-stu latach na moje 50-te urodziny też był bardzo miłym dla mnie momentem. To tylko potwierdziło to, że nie było to przypadkiem, że kiedyś na niego wszedłem i że ciągle, mimo nie najmłodszego wieku, człowiek jest dobrze przygotowany. Więc ten Everest na pewno tak, ale też są takie samotne wejścia, na przykład na Ama dablam w dobrym czasie, czy też na Cho Oyu. Takie wejścia już się pamięta do końca życia. Odwołując się do poprzedniego pytania, jak idzie się samemu do szczytu, trzeba być jednak bardzo pewnym siebie, bo wiadomo, że nikt ci tam nie pomoże. Dlatego, jeśli coś się wydarzy, to trzeba mieć świadomość, że tam zostanie, bo nikt na takiej wysokości mu nie pomoże. To są wyprawy, które bardzo dobrze się pamięta, ponieważ robi się je w bardzo dużym skupieniu.

M.K: Czy są jeszcze jakieś inne sporty, które uprawia Pan w wolnym czasie poza wspinaczką?

T.K: Jeżdżę trochę na rowerze górskim. Niestety już nie biegam, biegałem, ale po poważnej kontuzji i operacji nie mogę. Aczkolwiek ja też nadmiernie nie lubiłem biegania, trochę mnie ono nudziło. Kiedyś też skakałem ze spadochronem, dużo takich ekstremalnych sportów można powiedzieć, że uprawiałem. Potem uznałem, że po pierwsze nie mam na to wszystko czasu, a po drugie, że jak człowiek się rozdrabnia, to tak naprawdę nic nie robi dobrze. Więc jeżeli ktoś chce się poświęcić, to lepiej skupić się na jednej rzeczy. No i w pewnym momencie taką podjąłem decyzję.





M.K: Ma pan jeszcze jakieś plany na przyszłość? Czy jest jakaś góra lub projekt, nad którym pan obecnie pracuje?

T.K: Tak, oczywiście, że mam. Niekoniecznie są to zawsze ośmiotysięczniki. My teraz robimy ciekawy projekt: „Koronę wulkanów”, czyli wszystkie najwyższe wulkany na poszczególnych kontynentach i w styczniu mamy skończyć ten projekt na Antarktydzie. Myślę też o powrocie na kilka ośmiotysięczników, ale nie jest to jedyna rzecz, którą robię w życiu. Ja też realizuję się w innych tematach, więc to nie jest tak, że rzucę wszystko, żeby tam pojechać. Mam jakieś plany, chciałbym na górę Makalu pojechać, bo jest piękna. Potem być może odwiedzę góry, o których wspomniałem, że chciałbym wrócić. Także planów jest mnóstwo i tak naprawdę one się ciągle pojawiają. Też nie na każdą górę tak od razu można pojechać, bo na niektóre góry potrzebujemy odpowiedniego teamu i nie zawsze jest taka możliwość, żeby z takim teamem się spotkać.

M.K: No to już ostatnie pytanie. Jakie cechy uważa Pan za najważniejsze u osób, które chcą zacząć swoją przygodę ze wspinaczką górską?

T.K: Na pewno wytrwałość oraz opanowanie. Ludzie, którzy bardzo i szybko się denerwują w górach, zazwyczaj sobie bardzo słabo radzą. Góry potrzebują silnej psychiki, a ludzie, którzy mają ją słabą, strasznie szybko kończą wyprawę i się poddają. Później najczęściej tego żałują, ale wynika z tego, że po prostu nie mają odpowiedniej determinacji. Tak jak mówiłem, w wysokich górach ludzie, którzy chcą wszystko zrobić w ciągu „trzech dni”, kończą wyprawę bez zdobytej góry. Widziałem wielokrotnie takie przypadki, że ludzie przedwcześnie kończyli wyprawę, bo się poddawali i twierdzili, że już się nie da albo nie uda, a na koniec sezonu były wejścia, gdy ci ludzie zdążyli już wrócić. Także na pewno opanowanie, determinacja, cierpliwość, ale też na pewno metodyka, bo w przygotowaniach i w treningach trzeba mieć silną metodykę. Jeżeli tych cech ktoś nie posiada, to po prostu wysokich gór ani dużych projektów nie da się zrealizować.

M.K: Dziękuję serdecznie za rozmowę i podzielenie się swoimi doświadczeniami. Życzę kolejnych udanych wypraw, bezpiecznych powrotów i wielu chwil, które będą powodem do radości. Dziękuję jeszcze raz za poświęcony czas!

PRZYGODA Z FOTOGRAFIĄ

Moim gościem jest dziś **Anika Ignatowska**. Matka dwójki dzieci, fotografka, dziennikarka oraz korektor wydawniczy. W dzisiejszym wywiadzie jednak skupimy się jednak na fotografii.

Franek Ignatowski: Kiedy rozpoczęła się Twoja przygoda z fotografią?

Anika Ignatowska: Od najmłodszych lat każde wakacje spędzałam w Gdańsku u rodziny. Mój kuzyn, który jest fotografem, często zabierał mnie na plenery. Z zachwytem obserwowałam, jak poszukuje najlepszego kadru. Ta pasja szybko mnie zaraziła. Kuzyn pożyczał mi swój aparat i udzielał pierwszych wskazówek. W ten sposób, mając około 14 lat, zaczęłam robić świadome, samodzielne zdjęcia.

F.I.: Jaki rodzaj fotografii wykonujesz na co dzień?

A.I.: Kilka lat temu pasjonowałam się makrofotografią. Uwielbiam przyrodę – obserwowanie owadów, ptaków czy wzrostu roślin dawało mi ukojenie. Jednak wszystko zmieniło się, gdy na świecie pojawiło się moje pierwsze dziecko. Zakochałam się wtedy w fotografii noworodkowej. Z czasem poszerzyłam swoją działalność o zdjęcia rodzinne, ciążowe oraz reportażowe.



F.I.: Fotografia noworodkowa wymaga ogromnej cierpliwości i delikatności. Jak przygotowujesz się do sesji z najmłodszymi modelami? Czy masz jakieś sprawdzone techniki, które pomagają w pracy z niemowlętami?



A.I.: To prawda, fotografowanie noworodków wymaga wyjątkowego spokoju i cierpliwości. Aby uzyskać wymarzone kadry, stosuję różne techniki wyciszania maluszków, które pomagają im zasnąć. Przygotowanie do takiej sesji zawsze zaczynam od stworzenia szczegółowego planu. Wybieram około czterech stylizacji z dodatkami, a także dbam o techniczne aspekty, takie jak odpowiednia temperatura i komfortowa atmosfera. Podczas sesji mama dziecka zawsze czuwa obok, co dodatkowo zapewnia poczucie bezpieczeństwa.

F.I.: Ile czasu trwa sesja noworodkowa?

A.I.: To zależy od dziecka. Z doświadczenia wiem, że taka sesja trwa średnio około trzech godzin, choć zdarzały się przypadki, gdy sesja zajęła półtorej godziny lub nawet sześć godzin. Kluczowe jest, by niczego nie przyspieszać – dostosowuję się do potrzeb maluszka, by uzyskać jak najlepsze kadry.





F.I.: Zajmujesz się też innymi rodzajami fotografii, np. ciążową. Fotografia ciążowa łączy w sobie intymność i subtelność. Jak sprawiasz, by przyszłe mamy czuły się komfortowo przed obiektywem?

A.I.: Ciąża to wyjątkowy czas, pełen magii i niezwykłej aury. Moim celem jest uchwycenie nie tylko piękna rosnącego brzuszka, ale przede wszystkim kobiecości, siły i dumy przyszłej mamy. Sesje ciążowe są bardzo kameralne – najczęściej uczestniczę w nich tylko ja i przyszła mama, czasami w towarzystwie jej partnera. Klimat tworzę za pomocą odpowiedniego oświetlenia, spokojnej muzyki i przyjaznej atmosfery.

F.I.: Czy w swojej karierze napotkałaś sytuacje, które zmusiły Cię do wyjścia poza strefę komfortu? Jak sobie z nimi poradziłaś i czego się dzięki nim nauczyłaś?

A.I.: Takie sytuacje zdarzają się każdemu. Na przykład przyszła mama poczuła się źle podczas sesji ciążowej lub maluszek płakał przez dwie godziny z powodu kolki. W takich momentach kluczowy jest spokój. Czasem najlepszym rozwiązaniem jest przełożenie sesji na inny dzień, mimo dodatkowego wysiłku, jakim jest demontaż i ponowne przygotowanie studia. Najważniejsze jest dla mnie zapewnienie komfortu fotografowanej osobie – to priorytet, który pomaga mi rozwijać się i zdobywać cenne doświadczenie.

F.I.: Czy kobiety po sesjach ciążowych często wracają na sesje noworodkowe?

A.I.: Prawie wszystkie sesje ciążowe kończą się później sesją noworodkową. Klientki często wybierają pakiet "brzuszek & maluszek", który pozwala im zaoszczędzić na dwóch sesjach. Szacuję, że około 95% mam decyduje się na tę opcję.

F.I.: W jaki sposób prezentujesz swoje zdjęcia potencjalnym klientom? Czy są to tradycyjne odbitki, fotoalbumy?

A.I.: Zdjęcia prezentuję w różnej formie – jako odbitki, eleganckie albumy lub fotoksiążki. Klienci mogą wybrać, która opcja najbardziej im odpowiada.

F.I.: Powoli zmierzamy ku końcowi naszego wywiadu. Czy widzisz siebie w przyszłości w innej dziedzinie fotografii? Rozstaniesz się z noworodkami?

A.I.: Noworodki na pewno pozostaną ważną częścią mojej pracy, ponieważ ten rodzaj fotografii jest dla mnie szczególnie wzruszający. Niemniej jednak jestem otwarta na nowe wyzwania. Ostatnio miałam okazję fotografować wnętrza apartamentów pod wynajem. To zupełnie inny rodzaj pracy, ale również bardzo interesujący – cisza i pełna kontrola nad przestrzenią pozwalają na kreatywne podejście.

F.I.: Bardzo dziękuję Ci za rozmowę i życzę dużo klientów i nowych inspiracji!

MIEDZY MIKROFONEM A BRAMKĄ: ZYCIE NA DWIE PASJE



Jestem tu dziś z obecnym dziennikarzem i speakerem BTS Rekord – **Tadeuszem Paluchem**. Ma on duże doświadczenie w różnorodnych branżach i profesjach i to właśnie będzie tematem przewodnim naszego wywiadu.

Maja Paluch: Czy podczas wyboru szkoły średniej kierował się Pan przyszłą karierą?

Tadeusz Paluch: Tak, z prostej przyczyny. Chciałem jednocześnie łączyć naukę ze sportem, a wówczas jedyną opcją było uczęszczanie do klasy sportowej w liceum im. Adama Asnyka w Bielsku-Białej, gdzie uczniowie mieli pewnego rodzaju przywileje i uprawnienia.

M. P.: Jakie wykonywał Pan zawody, przed znalezieniem tego stałego?

T. P.: Pierwszą profesją jaką wykonywałem – był to drukarz tkanin, w nieistniejącym już zakładzie Krepol, który zajmował się produkcją flag i bander. Praca ta wzięła się od klubu, w którym uprawiałem piłkę nożną. Miał on coś w rodzaju porozumienia ze wspomnianą firmą i tam w określonym zakresie godzinowym pracowałem jednocześnie będąc zwalnianym na treningi. Później trafiłem do górniczego klubu sportowego – Victoria Jaworzno, gdzie z kolei byłem zatrudniony jako górnik. No, ale nie ukrywajmy, praca sprowadzała się wyłącznie do uprawiania piłki nożnej. Po powrocie do rodzinnego miasta zerwałem całkowicie z futbolem i pracowałem przez kilka lat w branży odzysku metali kolorowych od funkcji brygadzysty przez kierownika zmiany, aż po samodzielne stanowisko człowieka prowadzącego skup złomu. Po czym dokonałem dość radykalnej zmiany i znalazłem się w pierwszym składzie Radia Bielsko, które zostało utworzone w 1994r. Wynikało to z drżemiącej we mnie pasji do sportu, łączonej jednocześnie z muzyką. I tak przez kolejnych kilkanaście lat minęła współpraca z radiem, wraz z pracą w klubie męskiej piłki siatkowej BBTS Włókniarz. Znalazłem się też w urzędzie miejskim, w którym miałem okazję pracować 6 lat. Po drodze udało mi się również być redaktorem naczelnym nowo otwartego portalu – jednego z pierwszych w kraju o takim profilu, lokalnym i sportowym o nazwie SportoweBeskidy.pl. Natomiast od 15 lat, zajmuję się różnymi funkcjami związanymi z mediami w BTS Rekord.

M. P.: Czy brał Pan kiedykolwiek pod uwagę praktykowanie piłki nożnej w sposób profesjonalny i czy żałował pan jej rezygnacji?

T. P.: Oczywiście, że tak. To było największe marzenie małego Tadka Palucha, żeby żyć z grania w piłkę, co poniekąd udało mi się zrealizować przez 4-5 lat. Nigdy nie żałowałem zakończenia tej ścieżki.

M. P.: Czy piłka nożna zawsze była Pana głównym zainteresowaniem?

T. P.: Piłka nożna, owszem jednak wiele innych dyscyplin sportu również mnie ciekawiły. Warto też wspomnieć o moim zafascynowaniu muzyką, które trwa do teraz.

M. P.: Czy uważa Pan, że możliwe jest łączenie pracy z pasją?

T. P.: Jak najbardziej! Nie ma nic piękniejszego niż łączyć pasję z wykonywaną profesją, która jest również godnym źródłem zarobku.

M. P.: Czy przez pracę można poznać ludzi wartościowych?

T. P.: Bez najmniejszej wątpliwości. Miałem okazję poznać mnóstwo takich w trakcie mojej pracy, zwłaszcza dziennikarza.

M. P.: Jakie ma Pan rady dla osób obecnie bezrobotnych poszukujących stałej pracy, która jest jednocześnie ich pasją?

T. P.: Trudno znaleźć taką pracę, zwłaszcza będąc bezrobotnym, w której można połączyć swoją pasję właśnie z wykonywaniem zawodu i do tego z godziwym zarobkiem. Poszukiwać, nie zrażać się! I zwłaszcza nie poddawać się, zawsze się coś znajdzie.

M. P.: To już wszystkie moje pytania, dziękuję Panu za poświęcony mi czas.

T. P.: Również dziękuję.



ZAWÓD SĘDZIEGO W PRAKTYCE



MAJA BYLOK: Dziś moim gościem jest pani Agnieszka Bylok, sędzia rodzinny Sądu Rejonowego w Cieszynie. Na początek chciałabym zapytać; co zainspirowało Panią do wybrania kariery sędziego?

AGNIESZKA BYLOK: Odkąd byłam małą chciałam zostać prawnikiem, ponieważ mój dziadek wykonywał ten zawód. Był on radcą prawnym, obserwowałam, co robi i zawsze mnie to interesowało oraz imponowało. Dostałam się na studia prawnicze i w trakcie odbywałam praktyki w kancelarii adwokackiej, kancelarii radcowskiej i w sądzie. Po tych praktykach, zdecydowałam, że najbliższy mojemu sercu jest zawód sędziego i postanowiłam uczyć się w tym kierunku. Następnie zdałam egzamin, wystartowałam na stanowisko sędziego i poprzez to udało mi się osiągnąć swoje marzenie.

M.B.: Jaką drogę Pani przebyła, aby wykonywać swój zawód?

A.B.: Tak jak już wcześniej wspominałam, trzeba skończyć studia prawnicze, potem dostać się na aplikację sądową i zdać egzamin na tyle dobrze, aby mieć szansę na etat w sądzie. Gdy byłam po egzaminie sędziowskim, nie było wolnych etatów sędziowskich. Dostałam propozycję, aby zostać referendarzem i przyjąłam tę pracę. Pracowałam na stanowisku referendarza w księgach wieczystych, a jak moje dzieci urosły na tyle, bym mogła znowu poświęcić się pracy, to wystartowałam na wolne stanowisko sędziowskie w Sądzie Rejonowym w Cieszynie, ponieważ zawsze chciałam być sędzią rodzinnym, a tylko tam było takie wolne miejsce. Droga była długa, trzeba było cały czas pracować oraz dawać z siebie wszystko, by mieć pozytywne opinie ze strony każdego przełożonego. Następnym krokiem był start w konkursie z innymi kandydatami na to konkretne stanowisko sędziowskie i konieczne było jego wygranie. Udało mi się wygrać ten konkurs i dostałam się tam, gdzie chciałam, w takim wydziale jaki sobie wybrałam.

M.B.: Jak przebiega Pani dzień w pracy? Czym na co dzień się Pani zajmuje?

A.B.: Mój dzień wygląda różnie – są dwa sposoby, na które sędzia rodzinny pracuje. Są to dni tak zwane sesyjne, w których prowadzę rozprawy, czyli wzywam strony, aby stawiły się do sądu na rozprawie. Na niej każdy ma prawo przedstawić swoje stanowisko w danej sprawie. Najczęściej właśnie na rozprawie sędzia decyduje co w danej sprawie postanowić. W inne dni pracuje w gabinecie, czytam pisma składane do spraw, które są przeze mnie prowadzone, wydaje decyzje, które nie muszą być ogłoszone na rozprawie.

Zajmuję się też pracą sędziego w trochę innym charakterze, kontrolującym i nadzorującym. Sędzia rodzinny na przykład kontroluje działalność domów pomocy społecznej prowadzonych dla osób chorych psychicznie i upośledzonych umysłowo. Umieszczam również osoby w szpitalach psychiatrycznych bez ich zgody, a także kontroluje decyzje lekarzy o przyjęciu osób chorych do szpitali psychiatrycznych bez ich zgody. Polega to na tym, że chodzę do szpitali i słucham osób chorych, które zostały przyjęte na oddział psychiatryczny bez ich akceptacji. Zajmuję się też sprawami nieletnich, którzy swoim zachowaniem wykraczają poza normy lub popełniają czyny karalne.

M.B.: Jakie emocje kierują Panią na sali? Zachowuje Pani tak zwaną „zimną krew” czy czasami pozwala sobie Pani na okazanie emocji?

A.B.: Akurat w wydziale rodzinnym ciężko jest schować wszystkie swoje uczucia. Niektóre sprawy są mocno naładowane emocjami, ponieważ sędzia rodzinny prowadzi sprawy ważne dla życia osobistego ludzi, czyli na przykład co do kontaktu z dziećmi, alimentów, w sprawach o umieszczenie ludzi w domu pomocy społecznej, czy właśnie o stwierdzenie zasadności przyjęcia do szpitala psychiatrycznego bez zgody. Z samego charakteru tych spraw wynika duży ładunek emocji i czasami nie jestem w stanie zachować zimnej krwi. Wzruszam się, zdarzyło mi się nawet płakać na sali, ponieważ dotknęło mnie to, w jakiej sytuacji są strony, dziecko lub osoba starsza. Jeśli chodzi o tok postępowania, sposób prowadzenia rozprawy, to nad emocjami potrafię zapanować i staram się, aby ludzie w trakcie rozprawy, którą prowadzę czuli się komfortowo i nie musieli się denerwować bardziej, niż wynika z samej sytuacji, że znajdują się w sądzie.

M.B.: Jak radzi sobie Pani z problematycznymi nastolatkami lub ich rodzinami?

A.B.: Sprawami problematycznych nastolatków, czyli nieletnich, którzy popełnili jakieś czyny karalne albo ich zachowanie nie jest właściwe, czyli przejawia objawy demoralizacji, zajmuję się w trybie ustawy o wspieraniu i resocjalizacji nieletnich. Ta ustawa ma na celu udzielenie pomocy takiemu nastolatkowi, który ma jakieś problemy z podporządkowaniem się do zasad panujących w społeczeństwie. Stosuję wobec takich nastolatków środki wychowawcze. Rodzajami takich środków wychowawczych jest między innymi upomnienie lub też zobowiązanie nastolatka do określonego zachowania. Jeśli na przykład nie chodzi do szkoły, to zobowiązuje go do realizowania obowiązku szkolnego albo mogę go też skierować do młodzieżowego ośrodka wychowawczego. Jeśli w grę wchodzi poważniejsze czyny, to do zamkniętych ośrodków dla młodzieży, takich jak Okręgowe Ośrodki Wychowawcze czy Zakłady Poprawcze. Takie właśnie narzędzia sądy rodzinne mają, aby sobie poradzić z nieletnimi i im pomóc. Celem ingerencji sądów w zachowanie małoletniego jest udzielenie mu pomocy. Nie jest celem ukaranie nieletniego za czyn, tylko oddziaływanie na niego, żeby stworzyć mu takie warunki, w których będzie mu łatwiej stosować się do norm życia społecznego. Jeśli chodzi o trudne rodziny to zwykle są to rodziny, które mają problemy i sąd stara się im pomóc, poprzez ingerowanie we władzę rodzicielską. Sąd pomaga rodzicom stworzyć taką sytuację, w której małoletni będą mieli się lepiej niż się obecnie mają. Do tych środków należy chociażby nałożenie na rodziców takiej kontroli sądowej, którą wykonuje w praktyce kurator sądowy. W skrajnych przypadkach, kiedy rodzina sobie nie radzi, sąd rodzinny umieszcza dzieci poza rodziną, żeby im pomóc. Są to bardzo trudne przypadki, również dla mnie, ale są sytuacje, w których jestem zobowiązana zabrać dzieci i niestety nie ma innego wyjścia.



M.B.: Czy mogłaby Pani podać przykład sprawy, która była dla Pani bardzo obciążająca lecz udało się Pani osiągnąć pozytywny wynik?

A.B.: Było kilka takich spraw, ale jest taka jedna, w której widziałam bardzo pozytywną zmianę w życiu małoletniego. Była taka sprawa, w której małoletni bardzo się niewłaściwie zachowywał w szkole i poza nią, był bardzo uzależniony od komputera, dokuczał młodzieży i przeszkadzał na lekcji. Jego negatywne zachowania były tak długotrwałe, że wszelkie próby pomocy udzielane przez szkołę nie dawały żadnego rezultatu, nawet nadzór kuratora nad rodzicami nic nie dawał. Rodzice małoletniego nie chcieli współpracować, nie chcieli go diagnozować ani zapisać na terapię psychologiczną, aby mu pomóc. W tej sprawie zdecydowałam się zabrać chłopca do placówki, została mu tam udzielona pomoc. Dyrektor placówki zapisał go na terapię, zaczął chodzić do psychologa, do psychiatry i małoletni po czasie zaczął współpracować. Zmienił swoje zachowanie, swój stosunek do kolegów i do nauki. Zaczął się bardzo dobrze uczyć. W tym ośrodku spędził półtora roku, w tym czasie rodzice zrozumieli, że trzeba go leczyć i finalnie oddałam tego chłopczyka rodzicom. Cel został osiągnięty, ponieważ rodzice zapewnili mu takie warunki, w których on funkcjonuje lepiej. To jest dla mnie największy sukces, że te działania, które podjął sąd nie dość, że pozytywnie oddziaływały na małoletniego, to jeszcze przekonały rodziców, aby zmienili zdanie i sami zdecydowali się kontynuować działania, które zainicjował sąd.

M.B.: Czy mogłaby mi Pani powiedzieć ile trwa jeden proces sądowy i od czego to zależy?

A.B.: Różnie, czasami jest tak że proces trwa 3 miesiące, a czasami półtora roku. Zależy, czy sprawa jest bardzo trudna, ile trzeba przeprowadzić dowodów, czy trzeba przeprowadzić jakieś opinie biegłych co zawsze zabiera dużo czasu, bo zwykle parę miesięcy. Czy trzeba w trakcie tego postępowania przebadać rodzinę, na przykład w Okręgowym Zespole Specjalistów Sądowych – to jest taki zespół specjalistów psychologów i tam badamy nieletnich, którzy się źle zachowują, i rodziny, które nie funkcjonują prawidłowo – szukamy przyczyny tych sytuacji. Długość postępowania zależy więc od tego, jak szybko da się ustalić, co jest przyczyną złego funkcjonowania nieletniego lub jego rodziny i w jaki sposób można im pomóc.

M.B.: Czy przekłada Pani pracę do życia osobistego?

A.B.: Ciężko jest, będąc sędzią rodzinnym wyjść z pracy i nie myśleć o tym co działo się na sali, z czym się miało do czynienia w szpitalu lub w Domu Pomocy Społecznej. Staram się nie przekładać moich emocji i przeżyć na życie rodzinne, ale wychodząc z pracy wszystko to we mnie zostaje i myślę nie raz w domu o tym, co było w pracy i co będzie, ponieważ w tym zawodzie nie sposób oderwać się od spraw ludzi, którym trzeba udzielić pomocy.

M.B.: Bardzo dziękuję za rozmowę i wyjaśnienie nam charakteru pracy sędziego w sądzie rodzinnym.



Źródła:

zdjęcie1: <https://prawnikursus.pl/czym-jest-sad-i-jak-dziala/>

zdjęcie2: archiwum własne

zdjęcie3: <https://www.portalsamorzadowy.pl/finanse/czeladz-bedzie-miala-swoj-sad-rejonowy-juz-w-2023-r-iemy-jakimi-sprawami-sie-zajmie>

CO MAJĄ WSPÓLNEGO GARNKI Z APARATEM? WYWIAD Z FOTOGRAFEM

Maja: Dzień dobry! Bardzo dziękuję, że zgodził się Pan na ten wywiad. Zaczniemy od początku. Jak zaczęła się Pana przygoda z fotografią? Co skłoniło Pana do podjęcia się tego zawodu?

Tomasz: Dzień dobry, bardzo mi miło. Moja przygoda z fotografią zaczęła się od robienia amatorskich zdjęć. Chyba jak każdy z nas zawsze lubił robić zdjęcia. Nie zawsze mi wychodziły ładnie, więc starałem się dowiedzieć jak najwięcej w tym temacie, ale nie było zbyt dużo źródeł, z których mógłbym czerpać wiedzę. Drugim impulsem było to, że zajmowałem się tworzeniem stron internetowych. Często problemem przy ich tworzeniu, były słabej jakości zdjęcia i klienci mówili mi, że nie bardzo mają skąd te zdjęcia wziąć. Że fajnie jakbyśmy mieli jakiegoś fotografa u siebie w firmie, który by im takie zdjęcia wykonał. To było takim dodatkowym impulsem do tego, aby dowiedzieć się jak najwięcej na ten temat i nauczyć się robić profesjonalne i ładne zdjęcia.



M: Jakie były największe trudności i wyzwania z jakimi spotkał się Pan jako fotograf mody?

T: Największą trudnością zawsze przy fotografii mody jest pokazanie dokładnie tego samego koloru, który był na materiale, dlatego że oko inaczej odbiera kolory. Każdy ekran w komputerze również inaczej wyświetla kolory. Aparat również inaczej wyświetla barwy i często przy pokazach były problemy z wytłumaczeniem klientowi, że np. kolor sukienki, czy innego ubrania, który widzi na swoim ekranie jest nieprawidłowy, dlatego że to jest problem z jego wyświetlaczem, z jego komputerem, z jego ekranem, bo zsynchronizowanie tego jest bardzo trudne i to jest problem, z którym walczą fotografowie do dzisiaj. Ciężko jest żeby wszystkie urządzenia były tak samo ustawione i były w stanie wyświetlać te same kolory. Trudno jest wytłumaczyć projektantowi np. że jeżeli to samo zdjęcie zobaczy na 3 różnych urządzeniach, to na każdym będzie inny odcień tej samej sukienki, tego samego zdjęcia i tak naprawdę fotograf nie ma na to wpływu. To jest chyba największy problem na dzień dzisiejszy fotografii.

M: Ile sprzętu zazwyczaj zabiera Pan na sesję? Jak drogi jest taki sprzęt?

T: Są dwa rodzaje sesji. Na jedną wystarczy tylko sam plecak i sprzęt, który jest w plecaku. Są to obiektywy, dodatkowe akumulatory, statyw, jakieś dodatkowe karty pamięci lub filtry. Wartość takiego plecaka to jest koszt około 50-70 tysięcy. Na drugi rodzaj sesji trzeba zabrać jeszcze ze sobą sprzęt studyjny, czyli dodatkowe lampy ze stojakami, nakładki na te lampy, rozpraszacze światła, wyzwalacze... Koszt takiego studyjnego sprzętu to kolejne 20-30 tysięcy. Jeżeli jest sesja ze sprzętem studyjnym, to powiedzmy koszt całego sprzętu, który zabieram ze sobą to jakieś 100 tysięcy. Nie jest to najwyższa cena, dlatego że fotografowie warszawscy z tej najwyższej półki, jak np. Marcin Tyszką mają sprzęt o wartości około pół miliona złotych. Ich aparat kosztuje 150 tys., dwa obiektywy po 100 tys., to już jest 350 tys. plus dodatki. Koszt sprzętu fotografa na sesji może wynieść nawet 500 tys. W moim wypadku jest to maksymalnie 100 tys. zł.

M: Czy to prawda, że wygląd zdjęć nie zawdzięczamy aparatowi tylko osobie wykonującej zdjęcie?

T: Tak, jak najbardziej! Jest taka anegdota, która świetnie opisuje całą sytuację. Brzmi ona tak: fotograf zaprosił pewnego razu panią na zdjęcia. Wykonał te zdjęcia. Pani po sesji obejrzała je i mówi: „Musi mieć pan naprawdę super sprzęt, że wyszły takie piękne zdjęcia.” Fotografa to zabiło, ale pani w ramach wdzięczności zaprosiła go na obiad. Przygotowywała długo ten obiad, poczęstowała fotografa. Bardzo mu smakowało, ale na koniec, gdy wychodził powiedział, że obiad był przepyszny i gospodyni musi mieć bardzo dobre garnki, że wyszedł ten obiad taki dobry. Myślę, że to jest świetna kwintesencja tego, że to nie sprzęt robi zdjęcia, tylko fotograf. Tak jak nie garnki gotują obiad, tylko kucharz gotuje obiad.

M: Jak wygląda Pana przeciętny dzień w pracy?

T: Załóżmy, że jest to sesja modowa w studio. Wygląda to tak, że spotykamy się o godzinie 8 rano. Przychodzi cała ekipa i zaczyna się przygotowywanie modelki. Robienie jej fryzury to jest czas około 1h. Wykonywanie makijażu to jest również 1-1,5h plus pierwsza stylizacja. Czyli powiedzmy po 3h od momentu, kiedy spotkaliśmy się w studio, jesteśmy w stanie przygotować pierwsze zdjęcia. Wiele zależy od tego ile mamy zdjęć oraz jakiego rodzaju są do wykonania. Załóżmy, że jest to kolekcja sukienek. Jest ich tam około 80. Przy bardzo dobrej modelce jesteśmy w stanie zrobić około 10 sukienek na godzinę. Powiedzmy 1 zdjęcie na około 5 min. W ten czas jest wliczone ubranie się modelki, wykonanie kilku zdjęć, obejrzenie ich na laptopie, poprawienie ewentualnych ujęć, rozebranie się modelki z poprawieniem fryzury i makijażu do kolejnego zdjęcia. Mniej więcej tak wygląda jeden set. Po 8-10 h fotografowania w sumie spędziliśmy w studio 10-11 godzin i jesteśmy na tyle zmęczeni, że kończymy dzień zdjęciowy. Jeżeli nie zdążyliśmy sfotografować całej kolekcji, kolejnego dnia cały cykl zaczyna się od nowa.



M: Jestem ciekawa jak wygląda nawiązywanie z Panem współpracy. Dokonuje Pan selekcji, na zasadzie: z tej współpracy może wyjść coś interesującego, czy po prostu dostaje Pan zlecenie i działa?

T: Zawsze dokonuję selekcji. Nie przyjmuję wszystkich zleceń jakie do mnie przychodzą. Dlatego, że (już pomijając sam aspekt finansowy) po prostu się to nie opłaca, gdy np. ktoś mi proponuje wykonanie sesji za możliwość reklamowania się tymi zdjęciami. Nie jestem zainteresowany tego typu współpracą. Często są też propozycje zdjęć, którymi nie jestem zainteresowany: jakieś dziwne sesje lub w jakichś bardzo odległych rejonach, typu sesja w puszczy, gdzie trzeba siedzieć 2 dni w lesie. Tego typu zlecenia odpadają, ale za to bardzo mnie interesują zdjęcia dla młodych początkujących projektantów, którzy niekoniecznie mają bardzo dużo pieniędzy, żeby jako profesjonalnego fotografa. W ramach wsparcia jestem w stanie mocno obniżyć stawkę, żeby niejako pomóc im wystartować w tym świecie, bo wiem, że każdemu na początku jest ciężko.

M: Wiem, że był Pan wielokrotnie zaproszony jako fotograf na pokazy „Miss Polonia”. Jak wygląda backstage tego typu wydarzeń oczami fotografa?

T: Byłem kilkukrotnie zaproszony jako fotograf na wybory Miss Polonia. Jest to bardzo ciekawy temat, dlatego, że z tyłu, na zapleczu bardzo dużo się dzieje. Jest tam duże tempo, mnóstwo ludzi biega, ubiera się, przebiera, robi fryzury, wpada w to catering, do tego wyskakują różne problemy, typu któraś projektantka zapomniała kolekcję butów w studio i nagle organizuję się na szybko wyprawę taksówkami, aby to jak najszybciej przywieść. Albo coś się nagle łamie, urywa. Biegają szwaczki, biegają magazynierzy. Jest poplątanie z pomieszaniem. Są to rzeczy, których nie pokazuje telewizja. Dlatego też zdjęcia z backstage-u zawsze cieszą się bardzo dużym zainteresowaniem i są bardzo rozchwytywane.





M: Jaka Pana zdaniem jest najlepsza pora dnia na wykonanie sesji w terenie? Co ma największy wpływ na wygląd wykonywanych na powietrzu zdjęć?

T: Są dwie najlepsze pory na wykonywanie zdjęć w terenie. Nazywają się one „złota godzina”. Jest to moment, kiedy słońce jest najniżej i daje najbardziej żółte i ciepłe światło. Jedna „złota godzina” jest rano: od wschodu słońca przez 50 min, a druga „złota godzina” zaczyna się wieczorem: na 50 min przed zachodem słońca. Jest wtedy przepiękne, żółte światło. Są długie cienie i wtedy wychodzą najładniejsze zdjęcia. Największy wpływ na wykonywanie zdjęć na powietrzu ma oczywiście pogoda. Nie zawsze musi być słonecznie, bo jeżeli chcemy zdjęcia klimatyczne, bardzo fajnym momentem jest delikatny opad deszczu. Ciekawym momentem też są poranne mgły, gdzie wychodzą bardzo tajemnicze zdjęcia.

M: Czy współpracował Pan z jakimiś znanymi osobami?

T: Przez długi czas byłem fotografem Natashy Pavluchenko. To nasza lokalna, najbardziej znana projektantka mody. Długi czas robiłem zdjęcia dla Golec Orkiestra. Współpracowałem z wieloma innymi projektantkami mody, typu Ewa Minge przy okazji robienia zdjęć na Fashion Week'ach. Współpracowałem też przez długi czas z Katarzyną Sokołowską, która jest aktualnie jurorką w programie Top Model. Wiele lat współpracowaliśmy ze sobą i dobrze się znamy.

M: Gdzie można zobaczyć Pana zdjęcia?

T: Oczywiście większość moich zdjęć można zobaczyć w internecie, ale można było zobaczyć je również na głównej stronie wielu gazet, typu magazyn „Wprost”. Można było zobaczyć je w czasopiśmie, typu „Playboy”, gdzie były zamieszczone całe moje sesje. Nie wspominając o wszystkich lokalnych prasach, miałem zorganizowane 3 swoje wystawy fotograficzne. Sporo moich zdjęć też zostało zakupionych przez prywatne osoby i ozdabiają biura prywatnych instytucji. W ramach reklamy moje zdjęcia były też drukowane w formacie 10m x 30m i były rozpięte na różnych budynkach, czy blokach. Kilka zdjęć było również na billboardach.



M: Kończąc, ma Pan jakieś rady dla początkujących fotografów?

T: Jest jedna rada: robić zdjęcia. Robić jak najwięcej zdjęć i nie przejmować się opiniami innych. Dlatego, że nigdy nie będzie tak, że nasze prace będą się wszystkim podobały. Zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie marudził. Ktoś, kto powie, że to zdjęcie jest brzydkie i mu się nie podoba. Nie należy się tym przejmować. Należy robić jak najwięcej zdjęć o różnych porach dnia i nocy, i pstrykać, czym tylko się da. Robić zdjęcia, robić zdjęcia i jeszcze raz: jak najwięcej zdjęć!

WIESŁAW PRZĄDKA. POLSKI WIRTUOZ AKORDEONU I BANDONEONU



Mój dzisiejszy gość mówi, że urodził się aby grać na akordeonie. Jest to zakochany w muzyce francuskiej artysta, któremu w duszy rozbrzmiewa namiętne tango. **Wiesław Prządka** uznawany jest za najwybitniejszego polskiego akordeonistę i bandoneonistę. Na międzynarodowym konkursie zespołów kameralnych w Paryżu zdobył główną nagrodę. Dzięki niemu akordeon powrócił też na scenę filharmonii jako instrument solowy. Dokonał szeregu nagrań dla rozgłośni radiowych i telewizyjnych w Polsce, Szwecji, Niemczech, Holandii, Francji, Dani, Belgii i we Włoszech. Na swoim koncercie ma 19 płyt.

Aleksander Zaremba: Jak zaczęła się Twoja przygoda z akordeonem?

Wiesław Prządka: Można powiedzieć, że był to przypadek, bo kiedy rodzice odkryli u mnie talent muzyczny to ojciec początkowo uczył mnie pewnych melodii na cymbałkach. Gdy zobaczył, że szybko łapię to kupili mi akordeon.

A.Z.: Ile miałeś lat kiedy pierwszy raz zetknąłeś się z akordeonem?

W.P.: Byłem wtedy w trzeciej klasie szkoły podstawowej.

A.Z.: Ile waży taki instrument?

W.P.: Takie koncertowe instrumenty mogą ważyć od 16 do 20kg.

A.Z.: Podobno zakochany jesteś w muzyce francuskiej?

W.P.: W 1992 roku byłem na wymianie między szkołami, bo pracowałem w szkole muzycznej. Pojechaliśmy wtedy do Wilna. Poznałem tam akordeonistę, który miał różnego rodzaju płyty przywiezione ze swoich zagranicznych koncertów. Gdy usłyszałem muzykę francuską, jazzową i tango, to poprosiłem go o zgranie jej na moje kasety. Wracając z Wilna, przesłuchując kasety dostałem olśnienia. Stwierdziłem, że założę własny zespół grający muzykę francuską w stylu musette i tak powstał „Musette Quartet”.

A.Z.: Co to jest styl musette?

W.P.: Musette jest francuskim stylem muzyki akordeonowej polegającym na koncertowym, wirtuozowskim opracowaniu popularnych melodii ludowych. Nazwa Musette pochodzi od starego francuskiego instrumentu ludowego.

A.Z.: No i Ten zespół dosyć szybko zdobył uznanie?

W.P.: Tak, rzeczywiście to był pierwszy taki profesjonalny zespół w Polsce, który zaczął grać muzykę rozrywkową na akordeonie. Już w 1995r. wydaliśmy pierwszą płytę pod tytułem „Kocham Paryż”.

A.Z.: Słyszałem również, że tango działa na Ciebie jak narkotyk.

W.P.: Tak, zaraził mnie nim znany polski pianista Waldemar Malicki, który zaprosił mnie do współpracy tworząc pierwszy w Polsce kwintet tangowy w stylu Astora Piazzolli.



A.Z.: Zauważyłem, że grasz tango na bandoneonie. Kto cie przekonał do gry na tym instrumencie?

W.P.: Po pierwszych próbach i nagrań kwintetu koledzy zaczęli mnie namawiać do kupna bandoneonu mówiąc, że szybko się przestawię do gry na nim. Zacząłem szukać takiego instrumentu i kupiłem go w Poznaniu.

A.Z.: Czy ktoś w Polsce wtedy grał na bandoneonie?

W.P.: Nie, nikt nie grał w Polsce. Myślałem, że gra na bandoneonie nie różni się zbyt od gry na akordeonie, ale przekonałem się o trudności tego instrumentu. Miałem wtedy problem z nauką gry.

A.Z.: Nie było nauczycieli, nie było nut, nie miał Cię kto nauczyć?

W.P.: Pan, od którego kupiłem bandoneon miał też szkołę. Starą niemiecką szkołę z 1925r. Dzięki temu podręcznikowi rozszyfrowałem bardzo skomplikowane schematy guzików.

A.Z.: Czy miałeś okazję poznać najwybitniejszego akordeonistę na świecie?

W.P.: Tak, miałem przyjemność poznać i wspólnie zagrać 3 koncerty w Polsce z francuskim akordeonistą Richardem Galliano.

A.Z.: Czy koncertujesz za granicą?

W.P.: Tak, koncertowałem w wielu krajach europy, a także w Stanach Zjednoczonych.

A.Z.: Kiedy planujesz następny koncert w Bielsku-Białej?

W.P.: Jeszcze nie mam konkretnych terminów lecz nie mogę się doczekać tego wydarzenia.

A.Z.: Dziękuję bardzo za poświęcony czas i gratuluję sukcesów w świecie muzyki.



DLA NIEKTÓRYCH ZWIERZĘTA SĄ SENSEM ŻYCIA

Chociaż nie było to łatwe, ze względu na napięty harmonogram naszego gościa, jednak udało mi się porozmawiać z osobą, która spędza cały czas ze zwierzętami. Przedstawię wam **Viktorię Kovalevą**.

Anastasia Vasiuk: Dzisiaj chciałabym więcej dowiedzieć się o tym, jak praca ze zwierzętami wpływa na życie Pani. A więc dlaczego Pani postanowiła założyć schronisko dla zwierząt?

Viktorii Kovaleva: Wszystko się zaczęło od jednego psa, którego znalazłam w Kijowie. Diamant, tak on ma na imię. Znalazłam go w wieku około trzech miesięcy, kiedy był jeszcze szczeniakiem. Wydawało mi się, że jest dobermanem, ale kiedy minęło parę lat i okazało się, że to jest inna rasa. Dwa lata później, prowadząc samochód, zobaczyłam pudełko, w którym było 4 szczeniaki, najwyżej ktoś je wyrzucił. Przez późniejsze lata spotykałam wiele innych zwierząt i w końcu postanowiłam założyć schronisko, żeby ludzie mogli przyjść i uratować w ten sposób porzucone zwierzątko.

A.V. : Czy zmienił się Pani charakter, odkąd zaczęła Pani pracować ze zwierzątkami?

V.K. : Zdecydowanie! Kiedy pracujesz ze zwierzętami, uczysz się spokoju i równowagi, a potem to staje się częścią Ciebie. Jestem na prawdę spokojniejszą od kiedy zaczęłam pracować ze zwierzętami. One oddają nam dużo emocji, tak samo jak ludzie.

A.V. : Dlaczego tego schroniska już nie ma?

V.K. : Niestety, przez wojnę w moim kraju nie mogłam przebywać w Ukrainie, bo ta sytuacja miała duży wpływ na moją psychikę. Każdego dnia bałam się o swoje zwierzęta, bałam się, że któregoś dnia przypadkowo może trafić bomba w moje schronisko. Myślenie o tym każdego dnia było nie do zniesienia.



A.V : Gdzie są obecnie zwierzęta, które znajdowały się w schronisku?

V.K. : Musiałam je oddać. Część zwierząt zabrali moi bliscy: mama, brat, siostra, przyjaciele. Pozostałe musiałam oddać do innych schronisk.

A.V. : Co Pani czuła, gdy zdecydowała się na to i kiedy oddawała Pani wszystkie swoje zwierzęta?

V.K. : Odczuwałam ból w środku. To było tak, jakbym oddała część siebie. Wszystkie zwierzęta byli moim sensem życia... Jednak wiedziałam, że muszę, bo będę o nie spokojniejsza. Teraz czasami otrzymuje zdjęcia swoich zwierząt od ludzi z innych schronisk, gdzie przebywają moi pupile.

A.V. : Dziękuję za tę wspaniałą rozmowę i za to, że Pani miała odwagę mówić o takich trudnych dla Pani przeżyciach. Mam nadzieję, że Pani spotka jeszcze kiedyś wszystkie swoje zwierzęta.



LŚNIĄCA GWIAZDA NA NIEBIE POLSKIEGO ROCKA!

Na rozmowę ze mną zgodził się **Mateusz Parzymięso** – polski wokalista, basista, gitarzysta rockowy i muzyk sesyjny, urodzony w 1988 roku. Od 2019 jest wokalistą zespołu Myslovitz. Mateusz jest też, współzałożycielem zespołu KID A, który prowadził z braćmi Michałem i Maciejem.

Lena Strauchman: Dzień dobry.

Mateusz Parzymięso: Dzień dobry. Cześć!

Jak rozpoczęła się twoja przygoda z muzyką?



Moja przygoda z muzyką rozpoczęła się od momentu, kiedy tak oficjalnie rodzice zapisali mnie do Szkoły Muzycznej w Chrzanowie. Zapisali mnie na instrument, który nazywa się saksofon. Później chciałem kontynuować naukę muzyki, bo bardzo się nią zainteresowałem. Wtedy zdałem egzamin do Szkoły Muzycznej w Krakowie. To jest Liceum Muzyczne przy ulicy Basztowej, no i tą szkołę też ukończyłem. W międzyczasie, bo to była jedna linia czasu, uczyłem się muzyki klasycznej. W międzyczasie, grałem też w różnych zespołach. Na przykład z zespołem, który stworzyłem z braćmi, z kolegami, i tak dalej...Tak właśnie rozpoczęła się moja przygoda z muzyką.

Tak jak właśnie mówiłeś, w 2005 roku powstał Zespół Muzyczny pod nazwą KID A, zainspirowany albumem zespołu Radiohead.

Tak.

Co Ciebie, i twoich braci, skłoniło do jego stworzenia?

Mój brat, tak samo jak ja, był uczniem szkoły muzycznej. Wspólnie słuchaliśmy podobnej muzyki, między innymi wspomnianego zespołu Radiohead. Myślę, że to jest marzenie wielu młodych osób, które widzą, jak jakiś zespół, odnosi sukces. Same wówczas do tego samego dążą. Chcą po prostu... naśladować, wplatają również swoją muzykę i przez to odnaleźć sposób, na jakieś dalsze życie.

Dlaczego i w jaki sposób Myslovitz zainteresowało się twoimi umiejętnościami muzycznymi?

Z Myslovitz to było tak, że jak wychodził album „Miłość w Czasach Popkultury”, to miałem wtedy około 12 lat. Mój tata przyniósł właśnie ten album do domu i zaczęliśmy go wspólnie słuchać. Bardzo mi się ta muzyka spodobała. We wspomnianym zespole KID A, który założyłem z braćmi, graliśmy również utwory zespołu Myslovitz. W swoim czasie graliśmy na przeglądzie kapel studenckich w Krakowie. W jury zasiadali wówczas członkowie zespołu Myslovitz, czyli „Lala” Wojciech Kuderski i Jacek Kuderski.

Myśmy ten przegląd wygrali i poznaliśmy się z chłopakami. Ta znajomość utrzymywała się przez kilka lat i doszło do momentu, kiedy poszukiwali wokalisty do zespołu, więc skontaktowali się ze mną. Tak to można mniej więcej w skrócie opowiedzieć.

Jaka była inspiracja i pierwszy pomysł na stworzenie „Wszystkie narkotyki świata”, czyli pierwszej płyty Myslovitz z Tobą w składzie?

Tu już by się pewnie musieli wypowiedzieć pozostali członkowie. Większość materiału, który jest na tej płycie, powstawał jeszcze zanim byłem w zespole. To już było stworzone. Ja tam dołożyłem dosłownie jeden utwór. Jednak, z tego co wiem i z tego co mówili, głównym przesłaniem tej płyty jest uchwycenie tematu miłości, w różnych jej odcieniach. Miłość, która występuje we wszechświecie, była właśnie inspiracją do stworzenia tego albumu.

Która piosenka najbardziej Ci się podoba w wspomnianym albumie „Wszystkie Narkotyki Świata”?

Bardzo mi się podoba tytułowa piosenka, czyli właśnie „Wszystkie Narkotyki Świata”. Bardzo lubię też, to jest chyba ostatni lub przedostatni utwór, który nazywa się „Kosmita”. Super jest utwór pod tytułem „Dziewczyna z wiersza Lennona”. Zagrałem tam, taką już końcową solówkę na saksofonie, czyli instrumencie, na którym kiedyś się uczyłem grać. Te utwory najbardziej mi się podobają w tym albumie.

Czy trudno jest ci grać starsze utwory Myslovitz, biorąc pod uwagę odejście Artura Rojka. A może nie masz z tym większego problemu?

Nie, nie mam większego problemu. Dosyć dobrze znam te utwory. Z tego też względu, iż bardzo dużo słuchałem zespołu Myslovitz. Jest to dla mnie bardzo fajne. Bardzo lubię grać także te stare utwory. Cieszy mnie to. Czuje się jak jakiś młody człowiek, który bardzo, ale to bardzo, cieszy się grając muzykę tego zespołu.

Podsumowując, jak oceniasz swoje dotychczasowe przebywanie w składzie Myslovitz?

Myślę, że na początku było dosyć trudno całemu zespołowi. Jak to na początku. Jednak nie w sensie takim, że musieliśmy się ze sobą zgrać. To nie było trudne, bo dosyć szybko nam poszło. Poznaliśmy się ze sobą i fajnie wszystko zaiskrzyło. Cały ten proces tych 5 lat doprowadził do tego, że od takiego zespołu, który był zapomniany po trochu, doszedł do takiego, który znowu zaczyna grać duże koncerty. I to w dużej ilości! Myślę, że mogę bardzo pozytywnie ocenić ten czas, który jestem w zespole Myslovitz.

Dziękuję za rozmowę i powodzenia w dalszej karierze.

Dziękuję bardzo.

„NIEWIDZIALNE ŻYCIE” — WYWIAD Z WYJĄTKOWYM PANEM P.

Przeprowadziłam wywiad z osobą niewidomą, by dowiedzieć się, jak wygląda życie takiego człowieka. Dla wielu ludzi taka niepełnosprawność byłaby wręcz wyrokiem, widzieliby tylko ograniczenia, które narzuca ta sytuacja, jednak Pan P., z którym przeprowadziłam wywiad, określa to jako determinację. Zapraszam do wysłuchania tej historii.

Marta: Najpierw chciałabym Cię zapytać, w jakim wieku straciłeś wzrok i jakie były Twoje pierwsze odczucia z tym związane?

Pan P.: To był proces, to nie było tak, że straciłem wzrok z dnia na dzień, to proces, który postępował przez góra 20 lat. Można powiedzieć, że to determinowało moje życie w większy lub mniejszy sposób, wszystkie moje wybory.

M.: Rozumiem, kolejne pytanie, które chciałabym Ci zadać to: Czy miałeś jakieś trudności z tym, żeby zaakceptować pewne ograniczenia, które powstały na skutek tej sytuacji? Jeśli tak, czy jest coś co Ci pomogło pogodzić się z losem?

P.P.: Zasadniczo do dzisiaj mam trudności z zaakceptowaniem tego. To nie do końca tak, że ja to zaakceptowałem, po prostu nie miałem zbytniego wyboru. Tak się to życie ułożyło, te ograniczenia cały czas mnie bardzo frustrują i są dla mnie źródłem różnych przemyśleń, że gdyby to się nie stało to wszystko mogłoby wyglądać inaczej. Tak jak wcześniej mówiłem, wszystkie moje decyzje życiowe były determinowane przez postępujący proces utraty wzroku. Było też pytanie wcześniej o te emocje, no radocha to nie była. Jak się zaczyna tracić wzrok w wieku 13 lat i praktycznie od początku wiadomo i w żaden sposób nie można go powstrzymać, to jest sytuacja dla dziecka, zwłaszcza młodego chłopaka bardzo trudna. Wiadomo to też nie było tak, że codziennie myślałem, „matko stracę ten wzrok”, bo człowiek do każdej myśli jest w stanie się przyzwyczaić i generalnie nie myśli już o tym. Były różne etapy, na początku ten problem powstał na skutek uderzenia śnieżką w oko, ale wtedy jeszcze widziałem na jedno z oczu i mogłem funkcjonować normalnie. Tak wiele lat minęło, że teraz już dokładnie nie pamiętam, jednak myślę, że można powiedzieć, iż te emocje z biegiem czasu po prostu blakną i trudno je określić.

M.: Myślę, że możemy przejść powiedzmy do kolejnej części, czyli jak Twoje życie wyglądało potem i jak cała ta sytuacja na nie wpłynęła. Zaczynając od początku, pamiętasz, czy jako dziecko miałeś jakieś marzenia, kim chciałbyś być w przyszłości?

P.P.: Nie pamiętam tego tak naprawdę. Ja jednak ten wzrok straciłem dosyć szybko i widzisz właśnie to jest przykład tego, jak ta sytuacja na mnie wpłynęła i na moje myślenie wtedy. Nie było mi dane, jak części ludzi w moim wieku, się nad tym zastanawiać. Pewnie ludzie nie zdają sobie sprawy jakie ograniczenia to nakłada, bo kiedy byłem młody nie były one też dla mnie aż tak widoczne. Doskonale zdawałem sobie sprawę, ile dróg jest dla mnie zamkniętych i nie brałem ich pod uwagę. Mimo wszystko wydaje mi się, że nie miałem wtedy jakiś sprecyzowanych planów.

M.: W takim razie chciałabym zapytać, czy jesteś w stanie określić jak ta niepełnosprawność wpłynęła na Twoją karierę zawodową? Czy od początku udało Ci się spełnić jakieś cele, które miałeś w tym kierunku, czy była to bardziej skomplikowana droga?

P.P.: To jest dość ciekawe. Paradoksalnie, dokąd właśnie postępujący proces utraty wzroku to determinował, wybrałem ścieżkę zawodową, która po prostu dawała mi jakieś perspektywy. No planowanie wtedy np. bycia kierowcą, nie miało sensu. Tych dróg, które miałem do wyboru nie było dużo i zdecydowałem się wtedy na zostanie fizjoterapeutą, a dokładniej masażystą. Skończyłem szkołę w tym kierunku, jako ciekawostkę mogę powiedzieć, że z najwyższą średnią w jej pięćdziesięcioletniej historii. Bardzo szybko znalazłem pracę. Czy lubiłem wtedy to, co robiłem? Nie do końca. To znaczy, inaczej ocenia się coś w momencie trwania, a inaczej po czasie. Na moją ocenę wpływa fakt, że nie pracowałem osiem godzin dziennie, często bywało, że pracowałem ponad 300 godzin w miesiącu.

Kiedy znalazłem tą pracę jeszcze widziałem. Dzięki niej poznałem bardzo dużo ludzi.

Sądzę, że mój stosunek do tego zawodu nie różnił się niczym od średniej statystycznej.

Nie była to moja pasja, ale starałem się wykonywać to jak najlepiej, jak potrafiłem.

Łącznie jako fizjoterapeuta przepracowałem 12/13 lat, ale te ramy czasowe nie oddają w pełni intensywności tamtego czasu. Tak jak wspominałem pracowałem w kilku miejscach, ponieważ poza pracą w szpitalu prowadziłem również własną działalność gospodarczą. Pozwoliło mi to na stosunkowo szybki zakup mieszkania i w jakimś stopniu zabezpieczenie się na przyszłość.

W międzyczasie w 2011 roku całkowicie utraciłem wzrok. Mimo wszystko uważam, że dobrze, że zdecydowałem się na tą ścieżkę, kiedy jednak jeszcze trochę widziałem. W przeciwnym razie ta logistyka związana z nauką byłaby o wiele trudniejsza. I tak to działało do 2015 roku.

M.: A co się stało, jeśli mogę zapytać, w 2015 roku?

P.P.: Wtedy w zasadzie całe to w miarę poukładane życie zmieniło się znowu o 180 stopni. Okazało się, że mam wrodzoną wadę kręgosłupa szyjnego, która spowodowała uszkodzenia neurologiczne.

Zaistniała konieczność wykonania bardzo skomplikowanej operacji, co właściwie wyeliminowało mnie z zawodu. Nie mogłem wykonywać praktycznie żadnej pracy fizycznej. Był to kolejny przełomowy moment, na który nie miałem na to żadnego wpływu.

M.: Z tego co wiem, wtedy również się nie poddałeś. Jak udało Ci się ruszyć dalej?

P.P.: Teraz mogę powiedzieć, że to co wydawało się kompletną katastrofą, finalnie okazało się całkiem szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Dzięki temu zainteresowałem się programowaniem i krok po kroku zacząłem uczyć się coraz trudniejszych rzeczy i obecnie pracuję, jako programista. Zawód ten rzeczywiście stał się moją pasją. Daje mi ogrom satysfakcji i spełnienia, i mogę szczerze powiedzieć, że lubię to, co robię.

M.: Uważam, że dla wielu ludzi ta historia daje tylko przykład tego, żeby się nie poddawać mimo kolejnych napotkanych trudności, co jest też bardzo imponujące. Robisz teraz na co dzień coś, co jest Twoją pasją, więc sądzę, że to ogromny sukces. Dla mnie jest to niesamowicie inspirujące.

P.P.: Szczerze nie wiem, czy mogę to tak określić, bo nie mam żadnego porównania.

Trudno mi się odnosić do tego, czy jest to coś specjalnego. Myślę, że wielu ludzi, tak jak ja próbowałoby coś z tym zrobić.

M.: Nikt z Nas nie wie, jak by zrobił, gdyby w takiej sytuacji się znalazł. Przechodząc dalej, chciałabym dowiedzieć się więcej o Twojej codzienności. Jak sobie radzisz, poruszasz się, wykonujesz podstawowe czynności, jak dajesz radę często funkcjonować jako pełnosprawna osoba?

P.P.: Widzisz, ja nie chce, żeby ta niepełnosprawność w pełni mnie definiowała, bo tak naprawdę każdy człowiek ma swoje ograniczenia i to jest tylko kwestia ich wielkości. To tylko po części wpływa na mnie i nie zastanawiam się nad tym, co jest mi trudno zrobić.

Co więcej, mamy np. bardzo szybko starzejące się społeczeństwo, a sam proces starzenia to jakaś forma trudności. Mnie to dopadło może trochę szybciej, może nieco bardziej, ale szybciej i bardziej to nie są precyzyjne, matematyczne określenia. To wszystko tak naprawdę jest kwestią skali, a skala jest bardzo względna.

Dla jednej osoby jego kompleksy mogą stanowić większe ograniczenia niż obiektywnie patrząc jakieś rzeczywiste trudności innej osoby i nie należy oceniać, czy to dobrze, czy źle, każdy człowiek ma swoje problemy. Nie uważam, żeby moje trudności bardziej mnie definiowały niż te które mają inni, nawet takie z których nie zdają sobie sprawy.

Jeśli chodzi o takie codzienne funkcjonowanie to też jest kwestia charakteru, czy przyzwyczajień, bo ja np. bardzo lubię porządek, staram się go utrzymywać, gotuję, piorę też. Największym ograniczeniem są czynności wykonywane poza domem i to faktycznie stanowi problem. Jeśli chodzi o moje codzienne funkcjonowanie w domu, absolutnie nie uważam, że ono się jakoś różni od życia osoby pełnosprawnej.

M.: Dla niektórych to może być zaskakujące, ale w takim razie zdecydowanie można Cię określić jako samodzielną osobę. Wydaje mi się, że to też świadczy, o tym żeby nie skupiać się na tych ograniczeniach, a na tym co realnie możesz zrobić.

Dalej, mam pytanie, może bardziej do zastanowienia się, czy uważasz, że są jakieś pozytywne w Twojej sytuacji, których inni ludzie nie mają?

P.P.: Powiem może inaczej. Generalnie nie ma, nie będę tutaj mówił o jakiejś przestrzeni emocjonalnej, że umiem odczuwać na innym poziomie, bo jak tak nie mam.

Natomiast spora część ludzi podejmując różne decyzje, począwszy od wyboru szkoły, poprzez wybór partnera, a skończywszy na najmniej znaczących kwestiach typu kwestia wyboru wakacji jest uzależniona od czynników zewnętrznych. W tym kontekście moja sytuacja nie bardzo się różni od sytuacji ogółu. Czynniki, którym ja podlegam są może mocniejsze, może inne ale tak naprawdę to, jak wspominałem jest to kwestia skali, a nie determinantu w swojej istocie i nie da się tego obiektywnie porównać. Aby tą względność czynników bardziej zilustrować – To, co wpływa na moje wybory i na moje życie i tak jest znacznie mniej ograniczające, niż to co determinuje życie powiedzmy przeciętnego, w pełni sprawnego mieszkańca Ugandy.

Według mnie bardzo niewielu ludzi jest w stanie od początku poprowadzić swoje życie w pełni świadomie, podejmując własne wybory, bo albo nie ma takich możliwości organizacyjnych, albo finansowych, albo intelektualnych, czy jakichkolwiek innych.

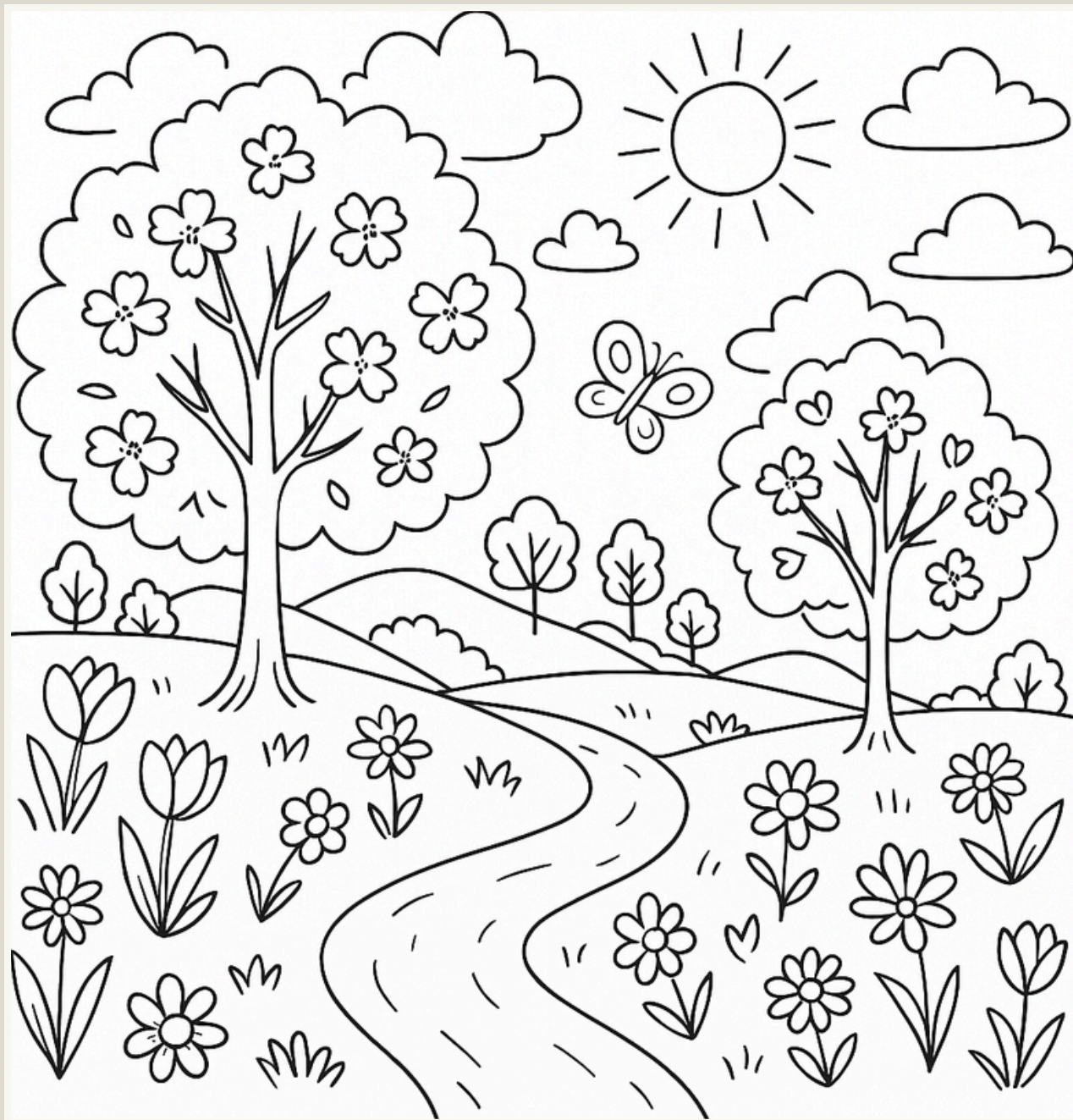
M.: Przejdę już do ostatniego pytania. Czy jest coś, czego nauczyło Cię bycie niewidomym?

P.P.: Od strony praktycznej, wiele rzeczy mnie to nauczyło, choćby obsługi telefonu, mojego podstawowego narzędzia pracy, jakim jest komputer, różnych sprzętów, w inny sposób niż osoby pełnosprawne. Moja obecna praca wymaga ciągłej nauki i ten proces uczenia jest również nieco inny. Na pewno musiałem się nauczyć żyć inaczej.

Myślę też, że daje mi to zrozumienie tego, o czym ludzie często wolą nie myśleć – większe zrozumienie przemijalności. Przemijalności zdrowia, życia. Może to być kwestia dnia, roku, dekady, niemniej pewne jest to, że każdy z nas będzie musiał stawić temu czoło. Żyjemy w czasach, kiedy wszyscy szukają szczęścia, próbują przedstawiać swoje życie jako bardzo atrakcyjne np. na różnych portalach społecznościowych. Tak naprawdę wszystko to i tak przeminie. To przez, co ja przeszedłem ułatwia zrozumienie, że to wszystko są pozory i to nie musi być istotne. Ludziom, którzy żyją takimi pozorami może być trudniej to zrozumieć i zaakceptować.

M.: Na koniec chciałabym bardzo podziękować Ci za rozmowę i poświęcony mi czas.

Tak, jak wspominałam na początku, osoba niepełnosprawna często kojarzy się tylko z problemami, z którymi się zмага. Po tej rozmowie mogę stwierdzić, że ktoś taki to dużo więcej. To też osoba, która często może być nawet szczęśliwsza od innych ludzi i jednocześnie posiadać też wielką wiedzę. Pan P. to człowiek, który stanowi dla mnie inspirację, jak wiele można zrobić, nawet gdy dla innych wydaje się to być niemożliwe. Ogromnie się cieszę, że miałam okazję go poznać i wysłuchać jego historii, która dla wielu z nas może być motywacją do dalszego działania.





Wesołych Świąt Wielkanocnych



www.sp2.rejbb.pl